

A. Sulimowicz

Ku pamięci „babińca”

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 2(3), 5-8

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ku pamięci „babińca”

Powiadają, że przed prawdą na koniu nie uciekniesz, na skrzydłach nie odlecis. Skoro tak, to nie będę kałaf swego serca nieprawością i jeśli się mnie zapytacie, czy byłem dobrym uczniem, odpowiem prosto i otwarcie: nie, nie byłem! Byłem „łowcą chmur”.



Wejście do łuckiej kienesy

Nie jeden raz zatrzymawszy palec w miejscu, gdzie zacząłem czytać, odrywałem znużone oczy od wersów modlitewnika i zwracałem je ku oknu, za którym zielenił się ogród i w oddali toczyły się fale rzeki, poganiane różgą Wodnego Starca, niosące na swych mrocznych plecach srebrne rozbłyski słonecznego światła. (...)

Oderwawszy się od ziemi, mój wzrok zderzał się z jedwabście błękitnym namiotem letniego nieba. Oto na jego

bezhmurnym tle pojawiały się białe stada gołębi. Polatywały to tu, to tam, z łatwością rozcinając swymi skrzydłami rozedrgane, gorące powietrze. Nagle znikwały mi z oczu i już tylko myśli moje podążały ich śladem. Od tej skrzydlatej gromady dobiegał mnie głos:

- Oj, biedaku! Jak długo jeszcze będziesz siedział w dusznym midraszu, żmudnie powtarzając nauki? Czyż nie jesteś naszym bratem? Rozwiń skrzydła i przyłącz się do nas! Czy mogłem ja, szalony chłopak, oprzeć się temu wezwaniu? Po cichu rozkładałem skrzydła (a jak wiadomo, każdy młody chłopak je ma), uważając, by nikt tego nie widział i nie przekroczywszy progu sali, wznosiłem się wyżej drzew, ruszałem śladem stada zaprzyjaźnionego z przestworzami.

Gdzieś tam w dole zostawała grzeszna ziemia, przykryta ciemną zasłoną niezliczonych trosk. Ja, wolne stworzenie, unosiłem się wysoko w powietrzu. Zapominałem o wszystkim, także i o tym, że tam w dole jako zastaw swego powrotu na ziemię pozostawiłem... swój palec. Został on tam, samotny, wskazując to miejsce na stronniczy sidduru, które czekało na mnie, łowcę obłoków. Wysoko się wznosiłem, ale nisko i boleśnie upadałem.

Kto wie dokąd zaniósłoby mnie skrzydła próżnych myśli, gdyby nie obudziło mnie silne pociągnięcie za ucho. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to ziemia drży i rozwiera się pod moimi stopami, a cała izba wraz ze mną i wszystkim, co się w niej znajdowało, spada w wielką i ciemną przepaść. Dopiero gdy usłyszałem znajomy głos nauczyciela, który napominał mnie: Nie śpij! Czytaj!, zaczynałem rozumieć, co się ze mną działo.

To nie było trzęsienie ziemi. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Uczniowie pochylali się nad książkami. Na zewnątrz gołębie polatywały jak białe skrawki papieru rozwiewane przez wesoły letni wiatr. Tylko moje ucho płonęło jak w ogniu i oczy pełne łez szukały w siddurze tego miejsca, skąd zaczął się mój lot.

Gdy moja nieżyjąca już matka zobaczyła to opuchnięte jak poduszka ucho, obejmowała mnie czule i szukała jakiegoś cukierka, by mi go na pocieszenie wsunąć do ust. Ojciec zaś całkiem inaczej się na to zapatrywał:

- Czego się nad nim litujesz? - mawiał nieboszczyk. – Tego mu było trzeba. Niech się zajmie nauką! Za mało ich biją...



Dzieci na wozie Golubów. Łuck, ok. 1937

Nie wiem naprawdę, czy za mało mnie karcono. Wówczas wydawało mi się, że bardzo dużo. Już na pewno tyle, ile się należało. Z tego powodu niechętnie kierowałem swe kroki do „szkolnicy” – przedsionka-przybudówki przy kienesie, gdzie latem ribbi Zecharia uczył dzieci. Na nieszczęście dom mojego ojca stał całkiem blisko kienesy, tuż po drugiej stronie ulicy. Przekroczywszy próg domu znajdowałem się naprzeciwko otwartych drzwi szkolnicy, pod czujnym okiem ribbiego. Nie było ocalenia! Jak baran prowadzony na rzeź, ze spuszczoną głową przechodziłem przez ulicę, karmiąc

w duszy węża zazdrości wobec tych kolegów, którzy mieszkali dalej od kienesy. Po drodze mogli oni grać w „szpaka”, a ja biedny byłem tego całkiem pozbawiony.

Ale było jedno miejsce w kienesie, które mnie niezwykle pociągało i dla niego byłem gotów wycierpieć wszelkie udręki szkolnicy. Miejsce to znajdowało się na górze kienesy. Przy wejściu, w kącie były schodki, po których wchodziłem do pomieszczenia zwanego „babińcem”. W izbie tej podczas nabożeństw siadywały kobiety i przez wąskie zakratowane okienka patrzyły w dół, gdzie modlili się mężczyźni.

Był czas, gdy w świąteczne dni w babińcu było tłoczno i gwarno jak w ulu. Tutaj miejscowe i przybyłe z czterdziestu okolicznych wsi Karaimki zbierały się razem i opowiadały najświeższe nowinki. Tutaj zaczynały się kłótnie i kończyły stare spory. Tutaj trwała wojna o miejsce, gdzie która miała stać. Channa-tete nie chciała stanąć obok Siony-tete, której nie znosiła. Żonie pana Mosia nie wypadało stać z tyłu, za biedniejszymi od niej kobietami. Bywało też tak, że odgłosy tych sporów rozbrzmiewały poza ulicę karaimską i jak głos potężnej fali, uderzały w żelazną bramę miejscowej twierdzy. Jej komendant, „namiestnik”, musiał się wtrącać do tych sporów, by położyć kres wojnie kobiet w babińcu. Ale nie ma co wspominać – było, co było, wszystko się ziemią pokryło. Za moich młodych lat już mało która z kobiet chciała się wspinać do babińca. Stały na dole, w pierwszym pomieszczeniu, oddzielonym od reszty kienesy murem. W murze tym znajdowały się dwa okienka, po jednym z każdej strony, a pośrodku były duże drzwi, na których wypisano słowa Prawa. To miejsce, gdzie

widniały święte słowa, całował każdy Karaim wchodzący do kienesy, dlatego litery były na wpół zatarte.

Wspomnienia są jak dojrzałe jabłka na drzewie – rusz jedno, a dziesięć sypnie ci się na głowę. Przychodzi mi na myśl „skarbczyk” – skarbonka z brązu na pieniądze datki. Stała obok drzwi i była tak wielka, że gdy ja, dziecko, chciałem wrzucić do niej swój grosik, musiałem się wspinać na palce. Przed oczyma widzę też srebrne korony, wisory i plakietki, które zdobiły obleczone w piękne szaty rodła, złożony w ołtarzu. Gdy z pokłonami otwierano drzwiczki ołtarza i w mrocznym jego wnętrzu ukazywały się odkryte jedwabiem, zwieńczone srebrnymi koronami grube zwoje, wydawało mi się, że to dawni królowie, cudem ocaleni od zagłady, przebywają w tym świętym miejscu. Z bojaźnią całowałem kraj ich szat, od których roznosił się zapach wilgoci. (...)

„Babiniec” ta zapomniana izba, był moim ulubionym miejscem, do którego wchodziłem zawsze, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Co mnie tam ciągnęło? Lubilem patrzeć przez te okratowane okienka do wnętrza kienesy, zalanej światłem zachodzącego słońca. Stamtąd wszystko wydawało się zupełnie inne, jeszcze piękniejsze. Wielki, trzy poziomowy ołtarz z rzeźbionymi kolumnkami i połyskującymi ozdobami, dwa mosiężne świeczniki rozkładające swych siedem ramion z przodu i z tyłu ołtarza, żyrandole zwieszające się na łańcuchach, małe domki i wielkie drzewa w naiwny sposób wymalowane na ścianach i suficie kienesy – wszystko oglądane z góry ukazywało mi swą nową twarz, która umykała mym oczom, gdy znajdowałem się na dole.

Ale to wszystko to jeszcze nic. Najsilniejszym magnesem, który

ciągnął mnie na górę, były **papiery**. O Boże, ile ich tam było! Cały babiniec był nimi zasłany tak, jak w czasie srogiej zimy ziemia bywa zakryta śnieżną pierzyną. Nie widziałem desek podłogi pod stopami – wszędzie papiery, papiery, papiery. Gdy byłem dzieckiem, nie zastanawiałem się nigdy, dlaczego leżą one tutaj ciśnięte byle jak na ziemię, dlaczego nie zebrano ich i nie położono w należyte miejsce? Wręcz przeciwnie! Cały ich urok krył się dla mnie w tym, że leżały mi pod stopami jak śnieg. Wsuwałem rękę w środek tej grubej, białej wyściółki i wyciągałem zielonkawe i niebieskawe kartki. Znajdowałem tam pojedyncze karty wielkich ksiąg, hymny pisane pięknym pismem, listy do tutejszej gminy przysłane z innych gmin, opatrzone czerwonymi i czarnymi pieczęciami dokumenty po polsku i rosyjsku.

Był to niepoliczalny skarbiec, w którym stale poszukiwałem czegoś nowego. (...) Patrząc na tę grubą warstwę papierów nie jeden raz pytałem sam siebie: skąd się wzięło tyle dłoni, by to wszystko napisać? (...)

Wśród tych zapomnianych papierów, w spokoju pustego babinca powstawały w mej głowie dziwne myśli. Nie było łatwo je zrozumieć – nawet dziś nie potrafiłbym ich jasno wyrazić. Czulem jedynie, że od tych pokrytych kurzem lat papierów, na których zachowały się dzieła życia wielu mędrców, od tych poźółkłych jak skóra wiekowego starca kart, kryjących w sobie dzieje gminy na przestrzeni stuleci, dochodził mnie tajemny głos, niestyszalne uchem wezwanie łagodnie stuka do mego serca. Co one chciały mi powiedzieć? Wiele lat później znalazłem się w obcym mieście, przez które wiodła moja droga. Udałem się zobaczyć tamtejszy cmentarz, znany

z urokliwego położenia i pięknych pomników. Przy wejściu wzrok mój padł na słowa wykute na bramie – głęboko zapadły mi w serce:

„Byliście tym, czym ty jesteś teraz.
Będziesz tym, czym my teraz jesteśmy.

Nie zapominaj nas...”

Czy to właśnie chciały mi przekazać w swym nieznanym języku tamte stare dokumenty, co jak w mogile, leżały pogrzebane w czterech ścianach babińca, zapomnianego przez czas i ludzi?

Mijały lata. Nadszedł czas, gdy opuściłem swe gniazdo i powiedziałem „żegnaj” rodzinnemu miastu i wszystkiemu, co było mi tutaj drogim. Z upływem lat zatarł się w mej pamięci babiniec łuckiej kienesy wraz ze spoczywającym w nim cmentarzyskiem papierów. (...) Nawet we snach nie myślałem o powrocie do Łucka.

Ale oto jak grom z jasnego nieba uderzyła burza wielkiej wojny. Gdy dobiegła końca, nadeszła jej straszliwa następczyni – rewolucja. Jak tylu innych, także i ja musiałem porzucić już zagrane miejsce i uciekać przed niebezpieczeństwem. (...) Dzięki Bogu otworzyła się droga do rodzinnego miasta! I tak oto znów znalazłem się w Łucku. Znów postawiłem stopę na Karaimskiej ulicy i przypomniały mi się młode lata. Otoczyły nie stare widoki i zapragnąłem znów zobaczyć, gdzie niegdyś nie jedną godzinę spędziłem wśród zapomnianych papierów.

Lecz czekała mnie smutna wieść: nadszedł kres babińca! Nie było już tam drogi... Przegniła podłoga babińca, runęły na ziemię zmurszałe deski. Tak samo, jak rozpadły się

w proch górne myśli moich młodych lat.

- Gdzie są te papiery, co tam były? – pytałem ze ściśniętym sercem. I co powiecie? Głos mi drżał, jakbym wypytywał o przyjaciela, na którego czyhało straszliwe niebezpieczeństwo. Pokazali mi w kacie kienesy niewielki worek z papierami. To było wszystko, co pozostało z tamtego ogromnego skarbcza, grubą warstwą pokrywającego całą izbę. Co się stało z resztą? Zjadły ją szczury, rozmyły deszcze, wchłonęła ziemia. Zbliżyłem się do tego nędznego worka z resztką papierów w środku z takim uczuciem, z jakim zbliżamy się do grobu przyjaciela. Wiele drogich wspomnień było tam pogrzebanych, wspomnień moich słonecznych, świetlistych lat...

Przetłumaczyła i dokonała niewielkich skrótów A. Sulimowicz.

Opowiadanie Sahyncyna „babinecnin” A. Mardkowicz opublikował w numerze szóstym „Karaj Awazy”(1933). Dalej autor zamieścił dalej treść kilku listów znalezionych w pozostałościach „babińca”. Ze względu na brak miejsca nie możemy ich przedrukować. Aby jednak dać Państwu pojęcie, jak bezcennym źródłem informacji o życiu dawnych Karaimów mogą być dokumenty z “babińca”, publikujemy krótki liścik napisany w języku polskim:

„Naypokorniey upraszam Szanownego Karaimskiego Rabina aby był na tyle łaskaw (jeżeli może) mógł przyjechać do wsi Trystenia, gdzie ja zostaję na Arędzie gdyż mam zarzącić kilka sztuk bydła, jeżeliby sam nie mógł przyjechać tedy proszę poręczonego od siebie przysłać – a ja zato obowiązany będę uiścić się i swojemi końmi do Łucka odeszłą. Uszanowanie nasze przesyłamy.

15 Oktobra 1857 roku. Trysteń.

Pokorni słudzy *naum* Eliezer *bkm* Nysan,
naum Awraham *bkm* Szalom